



# HARLAN COBEN

**Zostań przy mnie**

Thriller

# 1

Czasem, w chwili gdy Ray Levine robił zdjęcie i błyskał flesz jego aparatu, widział krew. Wiedział oczywiście, że widzi ją tylko oczami wyobraźni, ale czasem, tak jak teraz, obraz był tak realny, że musiał odjąć aparat od oka i uważnie obejrzeć ziemię przed sobą. Wspomnienie tamtej okropnej chwili — momentu, który całkowicie zmienił życie Raya, przeobrażając go z człowieka z przyszłością i aspiracjami w przegranego faceta, którego tu widzicie — nigdy nie nawiedzało go w snach ani wtedy, gdy siedział sam w ciemnościach. Przygnębiające wizje czekały, aż będzie zupełnie przytomny, wśród ludzi, zajęty tym, co niektórzy mogli sarkastycznie nazywać dokumentowaniem.

Na szczęście te obrazy znikły teraz, gdy Ray metodycznie robił zdjęcia chłopcu po bar micwie.

— Spójrz tu, Ira! — zawołał zza obiektywu. — U kogo się ubierasz? Czy to prawda, że Jen i Angelina wciąż o ciebie walczą?

Ktoś kopnął Raya w łydkę. Ktoś inny go popchnął. Ray nadal robił zdjęcia Irze.

— Gdzie odbędzie się przyjęcie, Ira? Której szczęściarze przypadnie pierwszy taniec?

Ira Edelstein zmarszczył brwi i zasłonił twarz przed obiektywem aparatu. Ray niezrażony rzucił się naprzód, pstrykając zdjęcia pod różnymi kątami.

— Zejdź z drogi! — zawołał ktoś.

Znów ktoś go popchnął. Ray usiłował złapać równowagę. Pstryk, pstryk, pstryk.

— Przekłęci paparazzi! — krzyknął Ira. — Czy nie dacie mi chwili spokoju?

Ray przewrócił oczami. Nie cofnął się. Przez obiektyw aparatu znów zobaczył ten krwawy obraz. Próbował odepchnąć go od siebie, ale nie zdołał. Przyciskał palcem spust migawki. Ira — Chłopak po Bar Micwie — poruszał się teraz jak w świetle stroboskopu.

— Pasożyty! — wrzasnął.

Ray zadał sobie pytanie, czy można upaść niżej.

Kolejny kopniak w łydkę przyniósł mu odpowiedź: nie.

„Ochroniarz” Iry — ogromny facet z ogoloną głową, niejaki Fester — odepchnął Raya przedramieniem grubości dębowego pniaka. Zrobił to z nadmiernym entuzjazmem, niemal zwalając go z nóg. Ray posłał Festerowi zdziwione spojrzenie, a ten poruszył wargami w bezgłośnych przeprosinach.

Fester był szefem i przyjacielem Raya oraz właścicielem firmy Celeb Experience: Paparazzi do Wynajęcia, zajmującej się organizowaniem tak zwanych ustawek z celebrytami. Ray nie tropił ich w nadziei zdobycia kompromitujących ujęć, które mógłby sprzedać tabloidom jak prawdziwy paparazzo. Nie, Ray upadł jeszcze niżej — świadczył usługi niedoszłym

celebrytom, gotowym za to zapłacić. Krótko mówiąc, klienci, w większości mający skrajnie obniżone poczucie własnej wartości i zapewne problemy z erekcją, zatrudniali paparazzich, żeby podążali za nimi i robili zdjęcia, dostarczając im, zgodnie z tekstem ulotki reklamowej: „poczucie bycia celebrytą mającym własnego paparazzo”.

Ray podejrzewał, że mógłby upaść niżej, ale nie bez nadzwyczajnej boskiej interwencji.

Edelsteinowie wykupili megapakiet klasy A: dwie godziny z trzema paparazzimi, jednym ochroniarzem, jednym dziennikarzem i jednym dźwiękowcem z mikrofonem. Wszyscy oni mieli podążać za „celebrytą” i robić mu zdjęcia, jakby był Charliem Sheenem zakradającym się do klasztoru. Megapakiet klasy A obejmował także pamiątkową płytę DVD bez dodatkowej opłaty oraz umieszczenie zdjęcia klienta na okładce jednego ze szmatławych plotkarskich tabloidów pod krzykliwym nagłówkiem.

Koszt takiego megapakietu klasy A?

Cztery tysiące.

Odpowiedź na nasuwające się pytanie: tak, Ray nienawidził siebie.

Ira przepchnął się przez tłumek i znikł w sali balowej. Ray odjął aparat od oka i spojrzał na dwóch pozostałych paparazzich. Żaden z nich nie miał wytatuowanej na czole litery P jak w słowie „palant” — byłoby to zbyt cenne.

Ray spojrzał na zegarek.

— Niech to szlag — powiedział.

Jego koledzy — obaj zaledwie na tyle bystrzy, żeby podpisać się nazwiskiem, a nie krzyżykiem — jęknęli. Jeszcze

piętnaście minut. Będą musieli uwiecznić początek imprezy. Coś, czego Ray nienawidził.

Bar micewę świętowano w Wingfield Manor, zaprojektowanej z przepychem sali bankietowej, która — gdyby była odrobinę skromniejsza — mogłaby robić za jeden z pałaców Saddama Husajna. Były tam kandelabry, lustra, okładziny z imitacji kości słoniowej, ozdobna snycerka oraz całe tony błyszczącej złocistej farby.

Obraz krwi powrócił. Ray zamrugał.

Na przyjęciu obowiązywały stroje wieczorowe. Mężczyźni wyglądali na zmęczonych i bogatych. Kobiety były zadbane, ich ciała chirurgicznie poprawione. Ray przecisnął się przez tłum w swoich džinsach, pomiętym szarym blezerze i czarnych sportowych butach Chuck Taylor Hi-Tops. Kilka osób spojrzało na niego tak, jakby właśnie narobił im na widelec do nakładania sałatki.

Była tam osiemnastoosobowa orkiestra oraz wodzirej, który miał zachęcać gości do wszelkiego rodzaju zabaw. Ktoś taki jak gospodarz kiepskiego telewizyjnego show albo jak mapet Guy Smiley z *Ulicy Sezamkowej*. Wodzirej złapał mikrofon.

— Panie i panowie — powiedział głosem sędziego na ringu boksterskim — przywitajcie, proszę, owacjami, po raz pierwszy, od kiedy otrzymał Torę i stał się mężczyzną, tego jednego, jedyne... Irę Edelsteina!

Ira pojawił się z dwiema... Ray nie był pewny, jak nazwać towarzyszki chłopaka, ale chyba najlepszym określeniem byłoby „ekskluzywne striptizerki”. Dwie superlaski wprowadziły małego Irę do sali, epatując dekolami. Ray miał przygotowany aparat; przecisnął się do przodu, kręcąc głową.

Ten dzieciak miał trzynaście lat. Gdyby kobiety o takim wyglądzie tuliły się tak do Raya, kiedy był trzynastolatkiem, miałby erekcję przez tydzień.

Ach, młodość.

Aplauz był burzliwy. Ira monarszym gestem pomachał tłumowi.

— Ira! — zawołał Ray. — Czy to twoje nowe boginie? Czy to prawda, że może dodasz trzecią do swojego haremu?

— Proszę — jęknął Ira, wygłaszając wyćwiczony tekst — mam prawo do prywatności!

Rayowi zbierało się na wymioty.

— Ludzie chcą to wiedzieć.

Fester Ochroniarz położył wielkie łapsko na ramieniu Raya, pozwalając Irze przecisnąć się obok niego. Ray pstryknął zdjęcie, flesz aparatu rozświetlił twarz chłopaka. Orkiestra zagrała utwór *Club Can't Handle Me*, będący nowym hymnem takich uroczystości. Od kiedy sale na wesele i bar micwy zaczęto nagłaśniać jak stadiony, na których odbywają się koncerty rockowe? Ray „zmylił” Festera, pstryknął kilka zdjęć, spojrzał na zegarek.

Została jeszcze minuta.

— Paparazzi, ty śmieciu!

Kolejny kopniak w goleń od jakiegoś małego kretyna.

— Auu, niech to szlag, to boli!

Kretyn czmychnął. Ray zanotował w myślach, żeby zacząć nosić nagolenniki. Spojrzał na Festera, wzrokiem błagając o litość. Fester ruchem głowy nakazał Rayowi, żeby poszedł za nim w kąt sali, wybawiając go tym samym z opresji. Tam też było za głośno, więc wymknęli się na korytarz.

Fester ogromnym kciukiem wskazał na salę bankietową za plecami.

— Dzieciak nieźle sobie poradził z czytaniem Tory, nie uważasz?

Ray tylko na niego popatrzył.

— Jutro mam dla ciebie robotę — rzekł Fester.

— Super. Jaką?

Fester odwrócił wzrok.

To nie spodobało się Rayowi.

— Oho.

— Chodzi o George’a Quellera.

— Dobry Boże.

— Tak. I chce tego co zwykle.

Ray westchnął. George Queller próbował robić wrażenie na podrywanych dziewczynach, przytłaczając je i przerażając. Wynajmował Celeb Experience, żeby paparazzi nękali go wraz z towarzyszką — na przykład w zeszłym miesiącu była to niejaka Nancy — gdy wchodzi do małej romantycznej kafejki. Kiedy jego towarzyszka była już bezpieczna w środku, otrzymywała — to nie żart — sporządzone na zamówienie menu z nadrukiem „George i Nancy, pierwsza randka z wielu” oraz adresem, miesiącem, dniem i rokiem podanymi poniżej. Kiedy opuszczali restaurację, wynajęci paparazzi pstrykali zdjęcia i pokrzykiwali, że George zrezygnował z weekendu na Karaibach z Jessicą Albą dla uroczej i przerażonej Nancy.

George uważał te romantyczne manewry za preludium do szczęśliwego pożycia. Nancy i jej podobne uważały te romantyczne manewry za preludium do kneblowania i uwięzienia w przechowalni mebli na przedmieściach.

Żadna nigdy nie umówiła się z George'em na drugą randkę.

Fester w końcu zdjął okulary przeciwsłoneczne.

— Chcę, żebyś pokierował tą robotą.

— Kierownik paparazzich — powiedział Ray. — Chyba zadzwonię do matki, żeby mogła pochwalić się przed koleżankami od madżonga.

Fester zachichotał.

— Kocham cię, wiesz?

— To wszystko?

— Tak.

Ray starannie zapakował aparat, oddzielnie korpus i obiektyw, po czym zarzucił torbę na ramię. Poszedł do drzwi, utykając — nie od kopniaków, ale kawałka szrapnela w biodrze, tego szrapnela, który zapoczątkował jego upadek. Nie, to zbyt proste. Szrapnel był tylko wymówką. W pewnym momencie swego nędznego życia Ray miał niemal nieograniczone perspektywy. Ukończył wydział dziennikarstwa Uniwersytetu Columbia, mając coś, co jeden z profesorów nazwał „niemal nadprzyrodzonym talentem” — obecnie marnowanym — w dziedzinie fotoreportażu. Jednak życie mu się ułożyło. Niektórzy ludzie przyciągają kłopoty. Niektórzy ludzie, niezależnie od tego, jak łatwa otworzy się przed nimi droga życia, znajdą sposób, żeby wszystko zepsuć.

Ray Levine należał do takich ludzi.

Było ciemno. Ray zastanawiał się, czy udać się prosto do domu i do łóżka, czy wpaść do baru tak podłego, że nazywano go Tężcem. Trudny wybór, kiedy ma się tyle możliwości.

Znów pomyślał o zwłokach.

Obrazy pojawiały się teraz nagle i były bardzo wyraźne.

Wydawało mu się to zupełnie zrozumiałe. Dziś przypadała rocznica dnia, kiedy wszystko się zmieniło, kiedy wszelkie nadzieje na szczęśliwe zakończenie umarły jak... No cóż, oczywista metafora wiązałaby się z tymi obrazami w jego głowie, prawda?

Zmarszczył brwi. Hej, Ray, może dość tego melodramatyzowania? — upomniął się w duchu.

Miał nadzieję, że to idiotyczne dzisiejsze zlecenie pozwoli mu się oderwać od tych myśli. Tak się nie stało. Wspominał swoją bar micwę, moment za pulpitem, kiedy ojciec nachylił się i szeptał mu do ucha. Pamiętał, jak ojciec pachniał wodą toaletową Old Spice, jak delikatnie ujął w dłonie głowę Raya i ze łzami w oczach powiedział tylko: „Tak bardzo cię kocham”.

Ray odepchnął od siebie tę myśl. Mniej bolesne były myśli o zwłokach.

Nie zamierzał płacić za parking, dlatego musiał zostawić samochód trzy przecznice dalej, w bocznej uliczce. Skręcił w nią i wóz tam był — jego zdezelowana dwunastoletnia honda civic bez zderzaka i z boczną szybą sklejoną taśmą naprawczą. Ray potarł brodę. Nieogolona. Zarośnięty, czterdziestoletni, z rzęchowym samochodem i mieszkaniem w suterenie, które po kapitalnym remoncie nadawałoby się na sracz, bez perspektyw, za często zaglądający do kieliszka. Poużałały się nad sobą, ale szczerze mówiąc, niewiele go to wszystko obchodziło.

Właśnie wyjmował kluczyki od samochodu, kiedy otrzymał silny cios w tył głowy.

Co jest, do...?

Osunął się na kolana. Pociemniało mu w oczach. Poczł mrowienie całej skóry na czaszce. Był zdezorientowany. Spróbował potrząsnąć głową, odzyskać jasność widzenia.

Następny cios trafił w skroń.

Coś eksplodowało w jego głowie w rozbłysku jasnego światła. Ray upadł na ziemię, rozciągając się jak długi. Może stracił przytomność — nie był tego pewien — ale nagle poczuł, że ktoś szarpie go za prawe ramię. Przez moment leżał bezwładnie, nie mogąc i nie chcąc stawiać oporu. W głowie wirowało mu z bólu. Ta część jego mózgu, która odpowiadała za instynktowne, zwierzęce odruchy, podpowiadała mu, co ma robić, by przetrwać. Unikaj kolejnych ciosów, mówiła. Zwiń się w kłębek i osłaniaj wrażliwe części ciała.

Następne szarpnięcie prawie wyrwało mu rękę ze stawu. Zaraz potem poczuł, jak coś zsuwa mu się wzdłuż ramienia. Uświadomiwszy sobie to, Ray gwałtownie otworzył oczy.

Ktoś chciał ukraść mu aparat.

Była to klasyczna leica z niedawno dodaną możliwością wysyłania danych. Poczł, że jego ręka unosi się bezwładnie w powietrze. Za sekundę straci aparat.

Ray nie miał wiele. Ten aparat był jedyną rzeczą, na której mu zależało. Był jego narzędziem pracy, oczywiście, ale także jedynym ogniwem łączącym go z dawnym Rayem, z życiem, jakie wiódł, zanim zaczęły go nawiedzać krwawe obrazy, i niech go licho, jeśli odda go bez walki.

Za późno.

Pasek już zsunął się z jego ręki. Ray zadał sobie pytanie, czy będzie miał jeszcze okazję odzyskać aparat, jeśli rabuś

zamierza zabrać mu portfel z czternastoma dolarami. Nie mógł na to czekać.

— Nie! — Poderwał się, chociaż wciąż kręciło mu się w głowie, a nogi miał jak z waty.

Spróbował rzucić się na napastnika. Natrafił na coś — zapewne nogi — i złapał. Nie miał sił, żeby je ścisnąć, ale wystarczył impet zderzenia.

Napastnik upadł. Ray również, lądując na brzuchu. Usłyszał brzęk jakiegoś upadającego przedmiotu i miał cholerną nadzieję, że nie rozbił właśnie aparatu. Zamrugał, usiłując otworzyć oczy, zdołał nieco unieść powieki i parę metrów dalej zobaczył swoją leicę. Spróbował powlec się do niej, lecz zauważył dwie rzeczy, które zmroziły mu krew w żyłach.

Pierwszą był kij bejsbolowy leżący na bruku.

Drugą — znacznie ważniejszą — podnosząca go dłoń w rękawicze.

Ray próbował spojrzeć w górę, ale na próżno. Myśłami wrócił do letniego obozu, który prowadził jego ojciec, kiedy Ray był dzieckiem. Ojciec — wszyscy obozowicze nazywali go wujem Barrym — zwykł urządzać zawody polegające na tym, żeby najpierw kręcić się w kółko, trzymając nad głową piłkę do koszykówki i wpatrując się w nią, a potem, kozłując, przebiec przez całe boisko i umieścić ją w koszu. Problem w tym, że od kręcenia się w kółko tak wirowało ci w głowie, iż mogłeś upaść w jedną stronę, a piłka leciała w drugą. Ray czuł się teraz tak, jakby miał runąć w lewo, a cała reszta świata na prawo.

Złodziej podniósł kij bejsbolowy i ruszył do ataku.

— Pomocy! — zawołał Ray.

Nikt się nie zjawił.

Wpadł w panikę, w ułamku sekundy obudził się w nim instynkt samozachowawczy. Niemal usłyszał głos w swojej głowie: uciekaj. Próbował wstać, ale nie mógł się poruszyć. Był bardzo osłabiony. Jeszcze jeden cios, jeszcze jedno silne uderzenie kijem bejsbolowym...

— Pomocy!

Napastnik zrobił dwa kroki w jego kierunku. Ray nie miał innego wyjścia. Wciąż na brzuchu, odczołgał się jak zraniony krab. No tak, to na pewno zadziała, pomyślał. W ten sposób szybko znajdzie się poza zasięgiem tego przekłętego kija. Dupek z bejsbolem był już praktycznie nad nim. Ray nie miał szans.

Uderzył o coś ramieniem i zdał sobie sprawę z tego, że to jego samochód.

Nad sobą zobaczył unoszący się w powietrze kij bejsbolowy. Za sekundę, może dwie, rozwali mu czaszkę. Ray miał tylko jedną szansę i wykorzystał ją.

Obrócił głowę tak, że prawy policzek był przyciśnięty do bruku, przywarł do ziemi, najmocniej jak mógł, i wsunął się pod samochód.

— Pomocy! — zawołał znowu. A do napastnika krzyknął: — Weź sobie aparat i odejdz!

Napastnik tak właśnie zrobił. Ray usłyszał jego kroki cichnące w głębi uliczki. Cholernie przerażające. Spróbował wysunąć się spod samochodu. Zdołał tego dokonać mimo dojmującego bólu głowy. Usiadł na bruku, plecami oparty o drzwiczki po stronie pasażera. Siedział tak przez jakiś czas. Nie potrafił powiedzieć, jak długo. Może nawet zemdlął na chwilę.

W końcu odzyskał siły na tyle, by wpełznąć do samochodu i uruchomić silnik. Przeklął cały świat.

Dziwne, pomyślał. Dziś przypadała rocznica tamtej tragicznej nocy, a on ledwo uniknął kolejnego rozlewu krwi. Niemal uśmiechnął się na myśl o takim zbiegu okoliczności. Ruszył, gdy uśmiech zaczął znikać z jego twarzy.

Przypadek. Tak, tylko przypadek. Nawet niespecjalnie dziwny, jeśli się nad tym głębiej zastanowić. Od tamtej nocy, kiedy doszło do rozlewu krwi, minęło siedemnaście lat — więc raczej nie były to srebrne gody ani nic podobnego. Ray został już kiedyś obrabowany. W zeszłym roku obrobiono go, kiedy pijany wychodził z klubu ze striptizem o drugiej nad ranem. Dureń ukradł mu portfel i uciekł z siedmioma dolarami i kartą kredytową CVS.

A jednak.

Znalazł wolne miejsce na ulicy przed szeregowką, którą nazywał domem. Wynajmował mieszkanie w suterenie. Właścicielem domu był Amir Baloch, emigrant z Pakistanu, który mieszkał tu z żoną i czterema dość krzykliwymi dziećmi.

Założmy przez sekundę, tylko przez ułamek sekundy, że to nie był przypadek.

Ray wygramolił się z samochodu. Wciąż łupało go w głowie. Jutro będzie jeszcze gorzej. Pokonał dwa stopnie, schodząc obok kublów na śmieci do drzwi suterenu, i wepchnął klucz do zamka. Przetrzęsął swój obolały umysł, usiłując wyobrazić sobie jakieś powiązanie — najmniejszy, najmarniejszy, najslabszy, najmniej uchwytny związek pomiędzy tamtą tragiczną nocą sprzed siedemnastu lat i dzisiejszym napadem.

Nic.

Dziś wieczorem był to napad rabunkowy, bez dwóch zdań. Walisz faceta po głowie kijem bejsbolowym, zabierasz mu aparat i uciekasz. Tylko dlaczego napastnik nie zabrał również portfela? A może był to ten sam gość, który w zeszłym roku obrobił Raya przed klubem striptizowym i wiedział, że może się spodziewać zaledwie kilku dolarów? Do licha, może to jednak był zbieg okoliczności. Zapomnij o dacie i rocznicy, pomyślał Ray. Może napastnik był tym samym facetem, który obrabował go rok temu.

O rany, to bez sensu. Gdzie, do cholery, jest vicodin? — przemknęło mu przez głowę.

Włączył telewizor i ruszył do łazienki. Kiedy otworzył drzwi szafki, do umywalki wpadło kilkanaście buteleczek i różnych drobiazgów. Poszperał w tym stosie i znalazł buteleczkę z vicodinem. A przynajmniej miał nadzieję, że to jest vicodin. Kupił go na czarnym rynku od faceta, który twierdził, że przemycił tabletki z Kanady. Z tego, co Ray wiedział, równie dobrze mogła to być witamina C.

Nadawano lokalne wiadomości, w których pokazywano pożar gdzieś w okolicy i wypytywano sąsiadów, co o tym sądzą, ponieważ — jak wiadomo — od nich zawsze można uzyskać naprawdę wnikliwą ocenę sytuacji. Zadzwoił telefon komórkowy Raya. Na wyświetlaczu pojawił się numer Festera.

- Co jest? — zapytał Ray, opadając na kanapę.
- Masz okropnie zmieniony głos.
- Zostałem napadnięty zaraz po wyjściu z bar micwy Iry.
- Naprawdę?
- Mhm. Dostałem w głowę kijem bejsbolowym.

— Ukradli coś?

— Mój aparat.

— Czekaj, więc straciłeś dzisiejsze zdjęcia?

— Nie, nie martw się — powiedział Ray. — Nic mi nie jest, naprawdę.

— W głębi serca umieram z niepokoju. Pytam o zdjęcia, żeby ukryć mój ból.

— Mam je — rzekł Ray.

— Jak to?

Za bardzo bolała go głowa, żeby to wyjaśniać, a ponadto zaczynał odpływać w sen po zażyciu vicodinu.

— Nie martw się o nie. Są bezpieczne.

Kilka lat temu, kiedy Ray pracował jako „prawdziwy” paparazzo, wykonał kilka kompromitujących zdjęć pewnego bardzo popularnego aktora geja, zdradzającego swojego chłopca z... kobietą. Ochroniarz aktora przemocą zabrał Rayowi aparat i zniszczył kartę pamięci. Ray wyposażył swój aparat w możliwość wysyłki danych — opcję podobną do tej, jaką można znaleźć w telefonach komórkowych — automatyczne przesyłanie co dziesięć minut zdjęć z karty pamięci na jego skrzynkę pocztową.

— Właśnie dlatego dzwonię — powiedział Fester. — Są mi potrzebne, i to szybko. Wybierz pięć z nich i prześlij mi jeszcze dziś wieczór e-mailem. Tato Iry chce natychmiast mieć przycisk do papierów z naszymi zdjęciami z bar micwy.

W wiadomościach telewizyjnych kamera skierowała swój obiektyw na „meteorologa” — dziewczynę o bujnych kształtach i w obcisłym czerwonym sweterku. Zwiększanie oglądalności. Rayowi zaczęły opadać powieki, gdy pogodynka zakoń-

czyła prognozę i pokazano zdjęcie satelitarne, a na ekranie pojawił się zbyt kunsztownie uczesany prezenter.

— Ray?

— Pięć fotek do przycisku do papieru w kształcie sześcianu.

— Właśnie.

— Sześcian ma sześć boków — przypomniał Ray.

— O, chylę czoło przed matematycznym geniuszem. Szósty bok jest na nazwisko, datę oraz gwiazdę Dawida.

— Rozumiem.

— Potrzebuję ich, najszybciej jak się da.

— Dobrze.

— Zatem wszystko w porządku — rzekł Fester. — Tylko że bez aparatu nie możesz jutro zająć się George'em Quellerem. Nie martw się. Znajdę kogoś innego.

— Teraz będę spał spokojniej.

— Zabawny z ciebie gość, Ray. Przyślij mi te fotki. A potem trochę odpocznij.

— Rozczuła mnie twoja troska, Fester.

Rozłączyli się. Ray opadł z powrotem na kanapę. Lek miał cudowne działanie. Ray niemal się uśmiechnął. W telewizji prezenter grobowym głosem rzekł:

„Zaginął Carlton Flynn. Jego samochód z otwartymi drzwiami znaleziono na nabrzeżu...”.

Ray otworzył jedno oko i zerknął. Na ekranie pokazywano wiecznego chłoptasia z jasnymi pasemkami w nastroszonych czarnych włosach i z kolczykiem w uchu. Przesyłał kamerze całusa, a podpis pod zdjęciem głosił: „Zaginiony”, podczas gdy zapewne powinien brzmieć: „Lamer”. Ray zmarszczył

brwi, gdy przez głowę przemknęła mu jakaś niejasna, niepokojąca myśl, której nie potrafił teraz uchwycić. Całe jego ciało domagało się snu, ale gdyby nie wysłał tych pięciu zdjęć, Fester zadzwoniłby ponownie, a kto by tego chciał? Ray z trudem podniósł się z kanapy. Powłókł się do kuchennego stołu, uruchomił laptopa i upewnił się, że zdjęcia istotnie znalazły się w jego komputerze.

Były tam.

Dreczęł go jakiś podświadomy niepokój, lecz Ray nie mógł określić jego powodu. Może męczyło go coś nieistotnego. A może próbował sobie przypomnieć coś naprawdę ważnego. A może, co najbardziej prawdopodobne, uderzenie kijem bejsbolowym w głowę sprawiło, że małe odpryski kości czaszki dosłownie szatkowały mu mózg.

Zdjęcia z bar micwy pojawiły się w odwrotnej kolejności — zrobione jako ostatnie było teraz pierwsze. Ray pośpiesznie przejrzał indeks, wybierając jedno ujęcie tańczących, jedno zdjęcie rodzinne, jedno przy czytaniu Tory, jedno z rabinem oraz to, na którym babcia całowała Irę w policzek.

Miał pięć. Wpisał adres internetowy Festera i przesłał je jako załącznik. Zrobione.

Był tak zmęczony, że nie wiedział, czy zdoła wstać z krzesła i dotrzeć do łóżka. Zastanawiał się, czy położyć głowę na kuchennym stole i zasnąć tutaj, kiedy przypominał sobie o innych zdjęciach, tych, które zrobił wcześniej tego dnia, przed bar micwą.

Przytłaczający smutek zapierał mu dech.

Ray pojechał do tego przekłętego parku i pstrykał zdjęcia. To głupie, ale robił to co rok. Nie potrafił wyjaśnić dlaczego.

A może potrafił — i to było jeszcze gorsze. Obiektyw aparatu pozwalał mu spojrzeć na wszystko z dystansem, z perspektywy, poczuć się bezpiecznie. Może właśnie o to chodziło. Oglądanie tego okropnego miejsca w pewien sposób uspokajało; miał nadzieję, że dzięki temu zmieni to, czego — oczywiście — nie można zmienić.

Ray obejrzał na ekranie monitora komputerowego zdjęcia, które zrobił wcześniej tego dnia — i teraz przypomniał sobie jeszcze coś.

Faceta z jasnymi pasemkami i kolczykiem.

Dwie minuty później znalazł to, czego szukał. Wtedy coś zrozumiał i nagle zrobiło mu się zimno.

Napastnikowi nie chodziło o aparat. Chciał zdobyć zdjęcie.  
To zdjęcie.